

## Tutaj nikt nie jest tym, kim się wydaje być na początku. „Mulholland Drive” w Teatrze Horzycy

### Koncept Lynch

Z radością konstatuje fakt, że Teatr Horzycy wyszedł z kryzysu personalnego, który źle zarządzany mógłby doprowadzić do kolejnej katastrofy w polskim teatrze. Aktywnie i z niepokojem śledziłem wydarzenia toruńskie, tym bardziej cieszę się z nowego rejsu Horzycy, który zapowiada się ekscytująco. Jeszcze przed zmianami w obsadzie stanowiska zastępcy dyrektora ds. artystycznych był znakomity „Reykjavik 74”, a najnowsza premiera to wydarzenie niepospolite. Sceniczny „Mulholland Drive” jest częścią konceptu „Lynch”, który ma rangę światową. Największa wystawa monograficzna Lyncha ever, wiele działań towarzyszących i premiera teatralna oparta na ostatnim, wielkim filmie jednego z najważniejszych i najbardziej wpływotwórczych reżyserów współczesnego kina – to robi wrażenie i winduje Toruń na najwyższą półkę.

„Lynch” to efekt współdziałania Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu, Teatru im. Wilama Horzycy i Fundacji Tumult Marka Żydowicza, dzięki któremu reżyser, który chce odlecieć, został zdobyty dla Torunia.

### kamera:teatr

„Mulholland Drive” w Teatrze Horzycy to pierwszy spektakl realizowany w ramach projektu kamera:teatr, który, jak informują pomysłodawcy, ma „eksplorować język artystyczny na pograniczu teatru i filmu oraz poszukiwać nowych sposobów komunikacji z publicznością”. Spektakl w pełni realizuje założenia projektu.

Widzowie podzieleni są na trzy grupy po ok. 40 osób każda. Wybrałem grupę niebieską, co okazało się wyborem najlepszym. Po intro w przestrzeni Dużej Sceny, która grała rolę Clubu Silencio, przewodniczki w mulhollandowych perukach prowadzą swoje grupy do ustalonych lokacji. Trzy główne to pomieszczenie piwniczne, salka bufetu teatralnego i jedna z garderób. By dojść do tych miejsc, przechodzimy korytarzami na co dzień niedostępnymi dla widzów. W przejściach rozgrywają się mikroszenki, w większości z filmu: „czerwone telefony”, poker i wariacja na temat niezapomnianej sceny pocałunkowej, która akurat trochę mnie rozczarowała. Koncept toruński polegał na zaproszeniu widzów do zagrania sceny z filmu, w której Jimmy Katz (w tej roli Chad Everett, definicyjne wcielenie hollywoodzkiego gwiazdora) i Betty (Naomi Watts) doprowadzają do eksplozji wszystkie mierniki napiętności. W Toruniu termometry ani drgnęły.

Trzy główne części ukazują przetworzone wątki z filmu. Najbardziej czytelna bez wątpienia jest scena pt. „Adam”, prezentująca proces uświadamiania reżysera Adama Kershera (przekonujący **Bartosz Woźny**). Najlepszą zaś jest „Betty” w reżyserii **Katarzyny Trzaski**. Wciąż mam w pamięci Ten Moment. Moment, w którym swoją pierwszą kwestię podaje **Maria Kierzkowska** (Coco/Jackie Taft). Były „ciary”, czyli po prostu przywrócona pamięć wielkich kreacji zatopiona w chwili. Głos, magnetyzm, osobowość - kroczyłem już do końca z niezapomnianą królową Szkocji z „Marii Stuart”. Sekunduje jej królowa Elżbieta z tej samej inscenizacji Grzegorza Wiśniewskiego (**Jolanta Teska**). Obecność tych dwóch dam Horzycy spowodowała, że ich zdjęcia na ścianie uzasadniały obecność plakatu z Ritą Hayworth. Niczym Bette Davis i Joan Crawford z „Co się zdarzyło Baby Jane” ukradły całość, reszta była tłem, choć jakże ważnym dramaturgicznie dla całego przebiegu.

Koncept logistyczny teatralnego „Mulholland Drive” przypomina trochę [„Sekretne życie Friedmannów”](#) z Teatru Ludowego, ale tylko podróźniczo. Krakowska wyprawa, mimo retrospekcji,

realizuje przebieg czytelnie. Toruński „Mulholland Drive” to model do składania, oniryczno-somnambuliczny jak oryginał, ale jeszcze bardziej złożony, bo opowiedziany wariantowo. Widz, który jest po trosze także uczestnikiem zdarzenia, buduje swój własny model. Każdy dobry spektakl jest oczywiście współtworzony przez widza, ale to współnictwo toruńskie jest wyjątkowe. Tak jak Lynch hipnotyzuje widzów i manipuluje naszymi przyzwyczajeniami oraz oczekiwaniami, tak twórcy toruńskiej inscenizacji nadpisują jeszcze jedno piętro: manipulację Lynchem. Postaci są multiplikowane (mamy choćby dwie Coco, dwóch Adamów i kilka kombinacji w czworokącie: Betty-Diane-Rita-Camilla Rhodes), nic nie jest oczywiste i przesądzone. Takiemu podejściu sprzyja opowieść filmowa i koncepcja świata przedstawionego wg Lyncha. To raczej wiele światów alternatywnych, czasami równoległych, innym razem przecinających się. Funkcjonują w nich postaci żyjące tylko w jednej rzeczywistości, ale są również wtajemniczeni, dotknięci przez fatum przepowiadacze przyszłości i przeszłości oraz agent Cooper, który podróżuje autostopem po całym uniwersum.

Niezwykłą rolę w narracji Lynchowskiej odgrywają znaki i symbole, czasami niezwykle wieloznaczne, które objaśnić potrafi tylko sam autor. Klasycznym przykładem jest informacja przekazana przez Dancing Girl z „Twin Peaks: Ogniu krocze ze mną”:

Nie dziwi fakt, że David Lynch jest jednym z najlepiej rozpoznanych i cytowanych świadomie lub nie filmowców w polskim teatrze artystycznym. Reżyser „Blue Velvet” tworzy endemiczną atmosferę wieloznaczności, sprawia, że wszyscy na czas projekcji przenosimy się do wielopiętrowego, niczym w „Incepcji”, snu. To wspaniała inspiracja dla teatru, z której korzystają twórcy toruńskiej prezentacji. To oczywiste, że nie ma pewnych postaci i wątków. Mnie zabrakło chyba najbardziej postaci ekstrapolowanych i nawiedzonych (np. Dana) oraz sceny z gangsterem Joe, który realizuje morderstwo na zlecenie. Ciąg przypadków spowodował, że Joe, oprócz zabójstwa zaplanowanego, musiał zabić dodatkowo sąsiadkę ofiary, sprzątacza, który napatoczył się oczywiście przypadkowo i na koniec jego odkurzacz, który nie chciał przestać pracować. To scena, która ukazuje komizm Lyncha, niezbędny składnik absurdu klejący ten szalony świat.

Najważniejsze, że zachowując szaleństwo ducha Lyncha, realizatorzy stworzyli swoją, nową całość. To nie tautologiczne odwzorowywanie uniwersum reżysera „Twin Peaks”, ale wariacja na temat. Dobrze zagrana z wyjątkową rolą... budynku. Teatr Horzycy należy do najpiękniejszych w Polsce, jako Club Silencio i portal między światami wyobraźni fana medytacji transcendentalnej przydał całości nowych znaczeń i wzmocnił atmosferę tajemniczości i nieoczywistości. Niewątpliwymi atutami całości są też fragmenty filmowe (okno w „Diane”!) a smaczków jest wiele i szkoda, że David Lynch wyraził zgodę na jedynie 20 pokazów. Wystawa trwa do końca tygodnia. Jeśli ktoś nie był, a chce poczuć się wyjątkowo, niech staje na głowie i rzuci wszystko, by przeżyć coś wyjątkowego w dwóch miejscach, w jednym mieście, w wielu światach.

**Piotr Wyszomirski**  
**„Gazeta Świętojańska”**